

BUSEM DO BRAM AFRYKI - MAROKO

Kiedy postanowiliśmy zorganizować wyprawę, wybór był prosty – jedziemy 9 – osobowym busem do Maroka. Całą wyprawę zorganizowaliśmy sami, zaczynając od trasy wyprawy, poprzez załatwienie wiz, wynajem samochodu, aż po zaopatrzenie w prowiant na czas całego wyjazdu (co nie oznacza, że nie próbowaliśmy kuchni marokańskiej).

Dlaczego Maroko? Poniekąd przez to, iż jakieś trzy temu oglądałam film „W stronę Marrakechu”. Fabuła filmu nie zrobiła na mnie większego wrażenia. W każdym razie to, co mnie oczarowało jako, iż studiuję geografę - to cudowne krajobrazy Atlasu Wysokiego i pustyni. Niesamowite połączenie tych dwóch rzeczy spowodowało, że długo byłam pod urokiem filmu. Poza tym, o czym się przekonałam w Maroku jest wszystko, czego człowiek zapragnie. Jeśli jest się entuzjastą przyrody, to tutaj jest morze, ocean, niziny, góry wysokie i niskie. Trafić można do miejsc przypominających raj, takich jak wodospady w Ouzoud. Tutaj spotyka się tętniące życiem oazy oraz martwe koryta rzeczne, które dawno nie widziały wody. Można wybrać się na powulkaniczne tereny jak i zdobywać najwyższe szczyty Atlasu Wysokiego. Nigdzie indziej, jak tylko tutaj widać kontrast kolorów - zielonych oaz z czerwoną barwą gleby i skał. Chce się doznać przeraźliwego zimna - można wybrać się w góry Atlas, chce się upałów - czeka Sahara, gdzie piasek ma intensywnie pomarańczową barwę. To tutaj można znaleźć miejsca do obserwacji niezliczonej ilości różnych gatunków ptaków. Jest rajem dla miłośników minerałów i skał.

Jeśli jest się amatorem kulinariów, to w Maroku nie zabraknie również i takich wrażeń. Na zawsze zapada w pamięci smak herbaty miętowej oraz świeżego soku wyciskanego z pomarańczy. Mimo tego, że nieśmiertelną coca - colę można tutaj kupić dosłownie wszędzie, nie może z nimi konkurować. Potrawy mają tutaj wyborny pikantny smak. Kuskus z kurczakiem czy zupa harira, to podstawa kuchni arabskiej.

Gdy jest się miłośnikiem historii, to każdy znajdzie wiele zabytków, głównie meczetów, do których niestety komuś, kto nie jest muzułmaninem, nie wolno wejść. Ale jest tu wiele innych ciekawych budowli jak kazby, ksary, pałace, przepiękne bramy prowadzące do medyny. Tutaj ściera się stara medina z nowoczesnymi dzielnicami miast.

To kraj muzyki i tańca, gdzie my wypadliśmy raczej mizernie, choćby na wspomnianej plantacji pomarańczy. To kraj bazarzy, magików, szamanów i szaleńców, będących pod wpływem „przyjemności” - kifu.

A jeśli lubi się zakupy, to po prostu trzeba zagłębić się w świat suków, gdzie można kupić wszystko i przeżyć jedyny w swoim rodzaju rytuał dokonywania targu ze sprzedającym.

Miejsce pełne kontrastów nie tylko przyrodniczych, ale i obyczajowych. Maroko to kraj Arabów i Berberów, pomiędzy nimi również panują różnice kulturowe i to dość znaczne o czym w czasie naszej wyprawy zdążyliśmy się nieraz przekonać. To tutaj można poznać odmienność życia kobiet i mężczyzn. Ich miejsce w arabskim świecie wyznacza religia – islam. Nie jest on tutaj przestrzegany tak, jak w innych krajach arabskich. Na wołanie muezina tylko część Arabów idzie na modlitwę do meczetu, a widok Marokańczyka wyciągającego swój dywanik na modlitwę należy raczej do rzadkości.

Na ulicach miast rzuca się w oczy kontrast w ubiorze, gdzie tradycyjna Arabka ubrana jest od stóp do głów, a „nowoczesna” kobieta chodzi ubrana po europejsku. A mężczyźni? Oni praktycznie nic nie robią - cały dzień tylko siedzą w przydrożnych knajpkach, rozmawiając i obserwując to, co się dzieje na ulicy. Codziennością jest to, że na osiołku jedzie mężczyzna, a jego żona podąża obok piechotą. A spotkanie na ulicy dwóch idących i trzymających się za ręce mężczyzn nie powinno dziwić, bo jest to według nich, wyraz przyjaźni.

Marokańczycy są bardzo gościnni i często zapraszają nieznajomych do siebie. I mimo tego, że niewiele mają i tak jeszcze potrafią się tym z innymi podzielić. Wiele razy sami przekonaliśmy się o gościnności Marokańczyków. Momentami ma się wrażenie, że tutaj czas się zatrzymał wiele lat temu, bo kiedy sięga się po stare opracowania dotyczące Maroka, to stwierdza się, że tu nic się od tego czasu nie zmieniło. To taki kraj, jak z baśni tysiąca i jednej nocy. A mimo to, nie jest to kraj na końcu świata, bo działa tutaj Internet i telefony komórkowe. Wszystko razem tworzy harmonijną całość. Nowoczesność współgra z tym, co stare, wiekowe. Chciałoby się, żeby taki stan trwał dalej.

TERMIN WYJAZDU: przełom kwietnia i maja 2001

CZAS TRWANIA: 23 dni

EKIPA:

Skład wyprawy był isticie doborowy, jako że uczestniczyło w niej siedmioro studentów geografii z Uniwersytetu Gdańskiego, poza tym jeden student Politechniki Gdańskiej i magister biologii.

WIZA:

Wizę marokańską można uzyskać w Ambasadzie Królestwa Maroka mieszczącej się w Warszawie na ulicy Starościańskiej 1m 11/12, tel. 022 prefix 8496341

Aby uzyskać wizę należy przedstawić zaproszenie, rachunek potwierdzający wykupienie wycieczki w biurze turystycznym bądź potwierdzenie rezerwacji noclegów i bilet powrotny. Nasza wyprawa nie korzystała z żadnej z tych możliwości, gdyż przedstawiliśmy w ambasadzie dokument z uczelni potwierdzający wyprawę. Na wizę czeka się trzy dni, albo jeśli ma się duże szczęście jak to było w naszym przypadku kilka godzin.

SZCZEPIENIA:

żółtaczką 134zł (można taniej za 42zł wykupując szczepionkę w aptece)
2 razy dur i tężec 2 x 8zł

TRASA:**1 dzień: (12 kwiecień)**

- wyjazd z Gdańska

2 -3 dzień: (13 – 14 kwiecień)

- tranzyt przez Niemcy, Francję i Hiszpanię

4 dzień: (15 kwiecień – Wielkanoc)

- przeprawa promowa przez Cieśninę Gibraltarską z Algeciras do hiszpańskiej enklawy w Maroku – Ceuty
- pierwsze miasto – Tetouan
- przejazd nad wybrzeże oceanu do małej rybackiej wioski Moulay Bousselham, teren cieszący się opinią jednego z najlepszych miejsc dla obserwacji ornitologicznych w całym kraju

5 dzień: (16 kwiecień)

- stolica Maroka – Rabat
- wizyta w Ambasadzie Polski w „lany poniedziałek”

6 dzień: (17 kwiecień)

- Cascades d'Ouzoud – najwspanialsze wodospady w Maroku mierzące około 100 metrów wysokości

7 dzień: (18 kwiecień)

- Marrakech – legendarne, imperialne miasto
- zwiedzanie miasta, między innymi: Dżemaa el -Fna – olbrzymi skwer w starej części miasta, gdzie koncentruje się życie towarzyskie; Meczet Kutubia

8 dzień (19 kwiecień)

- przejazd do berberyjskiej wioski Imlil, które służyło takim filmowcom jak Martin Scorsese do nakręcenia scen do filmu o Dalaj Lamie

9 - 11 dzień: (20 - 22 kwiecień)

- wyprawa na najwyższy szczyt Atlasu Wysokiego – Dżabel Toubkal (4165 m n.p.m.)

12 dzień: (23 kwiecień)

- przejazd przez przełęcz Tizi-n-Tichka
- dotarcie do wioski Ait Benhaddou, gdzie znajduje się kazba (fort) – wyjątkowa, egzotyczna i najlepiej zachowana na obszarze całego Atlasu

13 dzień: (24 kwiecień)

- miejscowość Warzazat

14 dzień: (25 kwiecień)

- przejazd Vallee des Roses – jest niezwykłą doliną, którą wiosną pokrywa różowy dywan perskich róż
- przełom rzeki Dades
- przyrodnicza osobliwość Maroka – przełom rzeki Todry

15 i 16 dzień: (26 - 27 kwiecień)

- przejazd do wioski Merzouga w pobliżu której znajduje się słynny Erg Chebbi – jedyna prawdziwa olbrzymia saharyjska wydma w Maroku

17 dzień: (28 kwiecień)

- Aguelmane Sidi Ali – jezioro pochodzenia wulkanicznego

18 dzień: (29 kwiecień)

- zwiedzanie Fezu

19 dzień: (30 kwiecień)

- przejazd do Al-Hoceima – miasta położonego na wybrzeżu Morza Śródziemnego

20 dzień: (1 maj)

- przejazd niezwykle malowniczą trasą przez Góry Rif do miasta Szefszawan

21 dzień: (2 maj)

- zwiedzanie miasta Szefszawan
- wyjazd z Maroka

22 dzień (3 maj)

- przejazd przez Hiszpanię
- Barcelona
- wizyta u zaprzyjaźnionych katalońskich studentów pod Barceloną

23 dzień: (4 –5 maj)

- tranzyt przez Francję i Niemcy
- powrót do Gdańska 5 maja

DOJAZD:

W przeciągu zaplanowanych 23 dni wyprawy przemierzeliśmy około 11 000 kilometrów z czego 3 000 w samym Maroku. Za środek transportu posłużył nam wypożyczony minibus marki Mercedes Sprinter specjalnie do tego typu wypraw przygotowany. Posiadający w tylnej części coś w rodzaju łózka na trzy osoby. Jest to świetne rozwiązanie, gdyż zmieniający się kierowcy mogą wypocząć. Wśród 9-osobowej grupy była trójka doświadczonych kierowców, którzy wymiennie spełniali swą powinność. A teraz trochę więcej szczegółów...

Trasa przejazdu przez Europę: **Gdańsk – Kostrzyn (370km) – Norymbergia (ok.900km) - Francja Mulhouse (1450km) – Nimes (ok. 2000km)– Hiszpania (2270km)- Barcelona - Walencja - Granada – Algeciras (3569km).**

Rozkład promów:

Algeciras -	06:30	07:30	08:00	09:30	10:15	11:00	12:15	13:00	13:45	15:15
Ceuta	16:00	16:30	18:00	18:30	19:00	20:30	21:00	21:45	22:00	
Ceuta -	08:00	09:00	09:30	11:00	11:30	12:15	13:45	14:30	15:00	16:30
Algeciras	17:15	17:45	19:15	19:45	20:30	21:45	22:15	22:45	23:00	

Cena biletu jest różna w zależności od agencji sprzedającej bilety i to na ten sam prom! Zanim cokolwiek się kupi należy porównać ceny w kilkunastu dostępnych agencjach. Średnio, bilet w obie strony z otwartą datą powrotu (nie trzeba potwierdzać wypłynięcia) kosztuje około 28 USD. Jeśli chodzi o opłatę za przewóz promem samochodu, to uzależniona jest od jego wielkości. W przypadku 6,5 – metrowego busa Mercedesa Sprintera opłata wynosi w obie strony: 170 USD.

Paliwo:			Oplaty autostradowe:
POLSKA - CEUTA	CEUTA - POLSKA	MAROKO	FRANCJA: 539zł
Polska 72 litry = 185,6 zł	Hiszpania 218,34 l = 507zł	221,63 l = 1320DH (490 zł)	HISZPANIA: 322zł
Niemcy 42,2 l = 129,5 zł	Francja 66,79 l = 224 zł		MAROKO: 26zł
Francja 91,37 l = 296,8 zł	Niemcy 66,52 l = 209 zł		
Hiszpania 225,8 l = 525,5	Polska 92 l = 228,4 zł		

<i>W sumie: 1137,4 zł</i>	<i>W sumie: 1168,4zł</i>	<i>W sumie:887zł</i>
Średnio na jedną osobę ok. 400zł		

WALUTA:

Dirhamy (DH). Niestety nie możemy ich kupić w polskich kantorach. Wymienia się na miejscu dolary (1 USD = 10 - 11DH). W marokańską walutę można zaopatrzyć się już w Algeciras lub bezpośrednio w kantorze na przejściu granicznym w Ceucie. Zachodnia waluta wymieniana jest również w wielu bankach. Jednak w wielu miejscach można płacić dolarami.

KOSZTY:

Przeciętnie na jednego uczestnika koszt wyniósł 1800 - 2000zł. Z tego największe koszty wiązały się z transportem.

Najważniejsze koszty w przeliczeniu na osobę:

- wynajem samochodu na 24 dni – 270 zł
- paliwo – 400 zł
- wiza marokańska – 100 zł
- żywność – 200 zł
- szczepienia – 130 zł
- ubezpieczenie – 130 zł
- przeprawa promowa - 150zł
- opłata za transport busa - 75zł

POGODA:

Nieprzypadkowo wybraliśmy termin wyjazdu na przełomie kwietnia i maja. W Maroku w tym czasie nie ma jeszcze takich upałów jak w okresie letnim, jednakże temperatura często przekraczała 30°C i więcej. W Maroku pogoda jest różna w zależności od regionu. Na wybrzeżu morskim i oceanicznym kraju temperatury są dużo niższe. Jeśli jednak planuje się wyjście w góry, to trzeba liczyć się w tym okresie z ujemnymi temperaturami, a w dolinach z opadami deszczu.

PRZEWODNIKI:

Poruszając się po Maroku korzystaliśmy z przewodnika „Maroko” wydawnictwa "Pascal" Poza tym wiele informacji uzyskaliśmy dzięki Internetowi. Korzystaliśmy również z mapy nr 959 wydawnictwa Michelin "Morocco". Próbowaliśmy nabyć mapy w samym Maroku jednak jest to bardzo trudne.

ORIENTACJA W MIEŚCIE:

Nie należy do łatwych, z powodu braku planów miast, a zamieszczone w przewodniku plany są zgeneralizowane ze względu na ilość arabskich ulic, co często kończy się błądzeniem w gmatwaninie uliczek. Poza tym w większości miast Maroka brakuje tablic z nazwami ulic.

ELEKTRYCZNOŚĆ:

Wtyczki takie jak u nas, napięcie również. Nie ma także problemu z elektrycznością na campingach. Jest możliwe nawet ładowanie telefonów komórkowych.

BEZPIECZEŃSTWO:

Maroko jest krajem bezpiecznym dla turystów. Jednak trzeba uważać na swoje rzeczy osobiste, aby „nie zmieniły” swojego właściciela. Tej zasady trzeba pilnować zwłaszcza na bazarach, gdzie drobne złodziejzki czekają na chwilę nie uwagi, aby przeciąć pasek od aparatu itp. Szczególnie należy się wystrzegać licznych naciągaczy i pseudoprzewodników, o czym my mieliśmy okazję przekonać się na własnej skórze.

AMBASADA POLSKI W MAROKU:

Mieści się, w Rabacie na ul. Rue Oqbah 23. Nie jest łatwo tam trafić zwłaszcza, kiedy porusza się samochodem znacznych rozmiarów, a ulice nie mają tablic z nazwami. Warto jednak odwiedzić polską ambasadę. Turyści są tam mile widziani i można się spotkać z miłym przyjęciem w formie poczęstunku. Poza tym otrzymaliśmy tam pismo w języku arabskim, w którym była mowa o tym kim jesteśmy i co robimy na terenie Maroka. Dokument ten kilka razy pomógł nam w załatwieniu spraw np. jeśli chodzi o pilnowanie przez dwa dni samochodu w wiosce, kiedy zdobywaliśmy najwyższy szczyt Atlasu Wysokiego.

UBEZPIECZENIA:

Standardowy pakiet ubezpieczeniowy WARTA TRAVEL. Jeśli chodzi o ubezpieczenie samochodu to obowiązkowo zielona karta i OC.

TELEFONY:

Na terenie Maroka nie ma problemu z połączeniami zagranicznymi. Wszędzie dostępne są automaty telefoniczne, my korzystaliśmy z telefonii komórkowej. Sieć telefonii komórkowej jest bardzo dobrze rozbudowana i zasięg jest praktycznie w całym kraju. Będąc abonentem sieci ERA – GSM nie miałam żadnych problemów z połączeniem do Polski (chyba, że stacja przekaźnikowa miała awarię lub znajdowaliśmy się w dolinach Atlasu Wysokiego). Sieć Era ma podpisane umowy z dwoma operatorami marokańskimi: MOR IAM: koszt rozmowy z Polską ok. 7,70zł/ 1min oraz sms 1,79zł; drugi operator to MEDI TELECOM: koszt rozmowy z Polską ok. 8,80zł/ 1min oraz sms 1,61zł.

POCZTA:

Działa bardzo dobrze i wysłane do Polski pocztówki dochodzą po niespełna tygodniu. Kartki pocztowe są bardzo ładne i kosztują 2- 3DH. Znaczek na pocztówkę do Polski 6,5DH

INTERNET:

Każda miejscowość posiada kawiarenkę internetową, co nawet w Polsce w wielu miejscowościach jest pobożnym życzeniem. Jedynym mankamentem jest to, że Internet działa tutaj bardzo powoli. Cena 1 godziny w kawiarence to około 10DH.

Czasami mogą pojawić się problemy z arabską klawiaturą, gdyż klawisze oznaczone są podwójnie: literami arabskimi i rzymskimi, ponadto litery rzymskie są poprzesławiane w stosunku do naszej klawiatury, co niejednokrotnie może utrudniać pisanie.

TARGOWANIE SIĘ:

W Maroku, tak jak w wielu krajach arabskich targowanie jest czymś w rodzaju rytuału, w którym chcąc czy nie chcąc turysta musi wziąć udział. Jeżeli mamy już upatrzoną pamiątkę należy wiedzieć ile się za nią chce zapłacić i twardo przy tym obstawać. Jeśli cena nie zostanie zaakceptowana najlepiej wyjść ze sklepu, a sprzedający na pewno wybiegnie za turystą, zgadzając się na cenę. W targowaniu zauważyłam pewną prawidłowość. Jeśli udało mi się kupić za podana przeze mnie cenę daną rzecz, a sprzedającemu pozostał pewien niedosyt, to żąda od turysty prezentu. Wtedy byłam pewna, że interes z mojego punktu był bardzo dobry. Aczkolwiek zdarzały się inne sytuacje. Po dokonaniu zakupu to sprzedający dawał prezent mnie... Wniosek: sprzedający dostał dobrą cenę za towar, a ja niestety przepłaciłam...

WYŻYWIENIE:

Jeśli bardzo zależy nam na obniżeniu kosztów, niektóre części żywności można wziąć z Polski. Przy założeniu noclegów na campingach i nie tylko, zawsze można przygotować gorący posiłek. W Maroku jedzenie jest bardzo tanie. Głównie należy się zaopatrywać w małych sklepikach albo na targach owocowo – warzywnych. Supermarkety należą do rzadkości. Jedyny, który nam udało się znaleźć był w Marrakechu. Jeśli chodzi o wodę to, jak w wielu krajach należy ją kupować w sklepie. Można też używać „miejscowej” wody, ale jedynie po przegotowaniu, choć nie zawsze ma ona dobry smak.

Wybrane ceny artykułów spożywczych (1 USD = ok. 10 – 11DH):

Miętowa herbata	3DH
Coca Cola	5DH
1litr wody mineralnej	5DH
Świeży sok pomarańczowy	3DH
Pomarańcze 1kg	3 – 5DH
Melony 1kg	5DH
Chleb	1 – 2DH
Ser	90DH
Krem czekoladowy	12DH
Oliwki 1kg	15DH

Kanapki „ze wszystkim”	5-10DH
Ciastka (polecam!)	1-5DH
Lody gałkowe (3gałki)	8DH
Obiad w restauracji	20DH
Marokańskie wina	od 30DH

Spis podstawowego prowiantu zabranego z Polski na 9-sosobową grupę:

Kawa rozpuszczalna	2szt.
Herbata w saszetkach	5szt
Zupki chińskie	ok. 200szt.
Zupy „Opycha”	ok. 200szt.
Gorący kubek	ok. 200szt.
Ryż	ok. 20 szt.
Przyprawa do zup	1 szt.
Puree w proszku	20 szt.
Makaron	10 szt.
Przyprawa grillowa	2 szt.
Woda mineralna	20 szt. po 5 litrów
Warzywa w puszkach	ok. 10 szt.
Sosy	30 szt.
Kotlety sojowe	20 szt.

Oraz sól, cukier, przyprawy, ketchup i sto innych rzeczy, które dało się zapakować do samochodu.

NOCLEGI:

Z racji tego, iż poruszaliśmy się samochodem, wybraliśmy najtańszą możliwość noclegu, czyli campingi. Często pozostawiają one wiele do życzenia, ale jeśli nie jest się osobą wymagającą w zupełności wystarczą, poza tym są bardzo tanie. Często spaliśmy pod tzw. „chmurką”. Jest to w Maroku możliwe, a zapewniam jest tego warte. Nie każdemu przecież zdarza się nocowanie w oazie palm przy pustyni Erg Chebbi, czy też w kraterze starego wulkanu, albo wśród sadu pomarańczowego.

Ceny noclegów na campingach (1 USD = 10-11DH)

- Moulay Bouselham ok. 0,5km przed wjazdem do miasta (bardzo łatwo trafić): opłata wynosi 12DH/os., namiot 20DH, samochód 30DH
- Ouzoud (są tutaj kilka campingów, my wybraliśmy „Camping des Cascades d’Ouzoud”): opłata 15DH/os., namiot 10DH, samochód 15DH
- W Marrakechu (ten, który podaje przewodnik Pascala już od pewnego czasu nie istnieje, został przeniesiony na obrzeża miasta) - „Camping Caravaning Ferdaous Route de Casablanca Marrakech” – opłata: 13DH/os., namiot 12DH, samochód 11DH
- Warzazat (camping położony w niedaleko centrum miasta) – opłata 15DH/os., namiot 12DH
- Al. - Hoceima – „Camping Cala Bonita” położony w zatoce – opłata ok.5DH/os.
- Szefszawan - „Camping Azilan”, Rue Sidi Abdelhamid – opłata 7DH/os., namiot 10DH, samochód 20DH
- Imlil – hotel w „Café de la Source”- opłata 30DH/os.

CO WARTO ZABRAĆ:

Sprzęt „ogólny”:

- namiot
- butle gazowe (oraz epigazy na wyjście w góry)
- 4 garnki, kubki

- 2 plastikowe miski (czasem gdzieś się trzeba umyć, jeżeli akurat nocujemy od kilku dni „pod chmurką”)
- 2 deski do krojenia (zawsze to lepiej...)
- termos (w góry)
- ściereczki, świece, latarki (znaczą ilość baterii i żarówek) oraz papier toaletowy (często bywa problem z kupieniem)
- apteczka
- GPS (przydaje się na pustyni)

Co poza tym jeszcze każdy powinien mieć:

- karimata i ciepły śpiwór (nocą potrafi być naprawdę zimno, nie wspomnę tu o górach, gdzie temperatura spada poniżej zera)
- okulary słoneczne (przy marokańskim słońcu zbawienne dla oczu)
- bluza z polara (na chłodne wieczory i góry) i kurtka
- spodnie ocieplane i płócienne
- przyda się również czapka i rękawiczki
- buty trekkingowe i sandały
- dużo T – shirtów
- płyn lub żel na komary (tną, jak nie wiem co)
- duże ilości kremów o wysokim filtrze (chyba, że ktoś lubi wyglądać niczym rak)
- telefon komórkowy

DOBRE RADY:

- Na granicy hiszpańsko – marokańskiej nie dać się naciągaczom, którzy szybko przeprowadzają samochód przez granicę, chcą oczywiście za to pieniądze, a sam proces przeprowadzania wcale nie trwa krótko.
- Ważną sprawą jest posiadanie notarialnego aktu potwierdzającego wynajem samochodu w kraju. Wskazane, żeby dokumenty te były w języku francuskim.
- Na granicy dobrze też mieć dużo pism (niekoniecznie w języku angielskim) z pieczętkami. Robi to na Marokańczykach dobre wrażenie.
- Dobrze jest złożyć wizytę w polskiej ambasadzie. Można prosić o wystawienie dokumentu po arabsku, a także dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy o kraju.
- Prowadząc samochód po marokańskich drogach, a zwłaszcza w miastach należy zachować zimną krew i nie wierzyć policjantom, bo oni często się mylą. Marokańczycy jeżdżą tak, jak im się podoba.
- Jeśli nie jedzie z nami żaden mechanik, to mogą być problemy... Marokańczycy dobrze znają się na naprawie samochodów (nam pomogli), jednak jeśli zostanie jakaś śrubka, to według nich nie jest to żaden problem... można ją wyrzucić.
- Jadąc drogami Maroka często można spotkać patrole policji, więc w takich przypadkach najlepiej mieć tzw. „uśmiech od ucha do ucha”, pozdrowić ruchem dłoni, a jest mała szansa na to, że nas zatrzymają.
- Gdybyśmy wybrali przejazd jednym z najbardziej niebezpiecznych odcinków Maroka w obszarze Rifu, to nie zatrzymujmy się, gdyż trasa ta roi się od nachalnych handlarzy kifem (odmianą marihuany) i czasem nawet prócą próbują zatrzymać samochód z potencjalnymi kupcami tego specyfiku.
- Udając się na pustynię Erg Chebbi nie dać się naciągnąć na wynajęcie jeepów nawet jeśli jakiś Marokańczyk upiera się iż nasz nie dojedzie, samochód którym dysponujemy na pewno dojedzie.
- Druga uwaga dotycząca pustyni jest taka, że w praktyce nie prowadzi tam w tzw. naszym rozumieniu żadna droga. Trafić jednak można tam samemu pomimo tego, że Marokańczycy mogą służyć nam za przewodników oczywiście za opłatą. Do Merzougi można dojechać trzymając się słupków, które są pozostałością po starej francuskiej linii telegraficznej. Jednak najlepszym sposobem jest posiadanie GPS – u, który doprowadzi do ergu bezbłędnie.

- Fotografującym radzę zabrać zapas baterii, gdyż na miejscu mogą być problemy z ich kupnem. Jeśli mamy bardziej profesjonalny sprzęt, warto zaopatrzyć się w tzw. batery pack na baterie "paluszki"- akumulatorki, jednak w tym przypadku trzeba pamiętać o ładowarce.
- Należy również uważać przy fotografowaniu na słońce, gdyż jest ono bardzo ostre i może prowadzić do prześwietlenia filmu, zwłaszcza jeśli chodzi o zenity.
- Marokańczycy nie lubią być fotografowani, a zwłaszcza kobiety, więc zanim zrobimy zdjęcie zapytajmy (chyba, że robimy to niepostrzeżenie).
- Kupując pamiątki należy się targować, tylko trzeba mieć na uwadze to, żeby nie kupić przysłowiowego kota w worku np. POMALOWANE minerały. Należy także uważać na naciągaczy, którzy chcą być naszymi przewodnikami po mieście.
- Trzeba być zaopatrzonym w znaczne ilości wody mineralnej.
- Jeśli chodzi o potrawy to każdemu polecam kurczaka z kuskusem, zupę harirę, marokańskie ciasteczka oraz obowiązkowo HERBATĘ MIĘTOWĄ!
- Koniecznie należy zobaczyć główny plac w Marakechu nocą. Pozostawia niezapomniane wspomnienia.

INNE PRZYKŁADOWE CENY W MAROKAŃSKICH DIRHAMACH:

- Malowanie rąk henną 40 – 50 (nie dać się naciągnąć!!!)
- Taxi z campingu w Marrakechu do centrum w OBIE STRONY 80
- Butla gazowa 120 w Maroku nie da się nabić polskiej butli gazowej)
- Pływanie po rozlewiskach w Moulay Bouselham (po targowaniu) za 9 osób 200
- Przewodnik przy wodospadach w Ouzoud (również po targowaniu) za 9 osób 200
- Dżelaba 100 (po licznych targach i prezentach)
- Chusta 20 (to i tak przesada)
- Minerały od 1 dirhama (należy się koniecznie targować do jak najniższej ceny żeby się potem nie okazało, iż daliśmy się zrobić w balona kupując pomalowanego...)
- **Co do pamiątek jest OK jeśli cenę zbije się do 50 – 30% oferowanej przez sprzedawcę!!!**
- Pilnowanie samochodu w mieście przez tzw. parkingowego (cwaniaka) 3
- Opłata za parking (za zdjęcie blokady z koła za brak biletu parkingowego) 20
- Mycie samochodu po powrocie z pustyni w myjni 40

DZIENNIK Z PODRÓŻY:

12.04. 2001(czwartek)

Dzisiaj rozpoczynamy naszą wyprawę, którą nazwaliśmy Al MAGHREB 2001. Z małym spóźnieniem docieram do Gosi. Tutaj pakujemy nasz samochód Mercedes Sprinter. Naszym poczynaniom przygląda się reporter z „ Super Ekspresu”. Po dwóch godzinach pakowania bagaży i żywności jesteśmy gotowi i możemy jechać pod nasz wydział geografii.

Całe szczęście, że samochód jest duży, bo nie wiem, gdzie zmieściły by się ta góra rzeczy i żywności, którą ze sobą zabieramy. „Kierowcy” dokonują ostatniego rozeznania naszej trasy przez Europę, przygotowanej przez Agatę. Jeszcze tylko symboliczny chrzest szampanem naszej Kryśki, pożegnania i jedziemy. A dlaczego Kryśka? Imię pochodzi od matki chrzestnej naszego cudownie zielonego samochodzika.

O 18:10 - wyjeżdżamy w naszą podróż. Przed nami około 3 500 km przez Europę. Jedziemy już godzinę, zaczyna padać śnieg z deszczem, a potem to już sypie. Nasi kierowcy, czyli Agata, Waldek i Jarek z upływem czasu po kolei zmieniają się za kierownicą i przyzwyczajają się do psikusów Kryśki.

13.04.2001 (PIĄTEK!!!!!!)

Godzina 01:25 – przed nami pierwsze przejście graniczne w Kostrzynie. Polacy przepuszczają nas bez problemów, a my martwiliśmy się o naszą żywność, i o to, że mogą nam ją skonfiskować z powodu choroby szalonych krów. Jak się jednak okazało - mogliśmy przewieźć całą krowę...

Pierwszy problem to Niemcy, którzy żądają od nas opłaty tranzytowej w wysokości 126 marek!!!! Zdziercy jedni. Co robić, płacimy, innego wyjścia nie ma. No chyba, że powrót do domu.

Jedziemy dalej, humory mimo wszystko nam dopisują... zmieniają się ludzie na łóżku i za kierownicą.

6:15 - jesteśmy „gdzieś” na autostradzie w Niemczech... diabelnie zimno - koniecznie musimy jechać stąd na południe. Kolejna zmiana śpiących. Opuszczam ten fajny ciepłutki przybytek, choć teraz też mam dobre miejsce - właściwie moje ulubione - pilota.

Dzień się toczy, w tej chwili jest 16:30 - właśnie przekraczamy granicę niemiecko - francuską. Za nami 1450 km, a to jeszcze nie jest połowa naszej drogi po autostradach Europy.

Tu muszę napisać o psotach naszej Kryśki... ma pewien talent... talent do ZAMULANIA SIĘ. Co to oznacza? Po pewnym czasie jazdy z prędkością 100 km i więcej Krycha buntuje się i jedzie maksymalnie 80 km

na godzinę. Oszałeć można z taką prędkością na autostradzie. Wśród innych pojazdów na drodze porusza się niczym żółw. I można docisnąć gazu, a ona i tak swoje 80 jedzie i ani myśli więcej. Ale my w końcu znajdujemy na nią sposób - trzeba na moment zjechać z autostrady i... „pogazować” na luzie, wówczas powinna jechać dalej... aż do następnego razu. Ciekawe jak będzie jutro? Jeszcze pilotuję... tym razem Agatę.

No, nareszcie robi się cieplej i o wiele bardziej zielono. Dobiega 19:00 - robimy sobie dłuższy postój na parking, „gdzieś” we Francji. Po raz pierwszy nasz kuchmistrz Wojtek wyciąga sprzęt kucharski i zaczyna się gotowanie. Pierwsza nasza wspólna kolacja zupka OPYCHA - my się. Smakuje każdemu!

14.04.2001 (sobota)

Razem z Agatą przekraczam nocą granicę hiszpańską. Znowu sprawdzam kilometraż. Kryśka właśnie przejechała 2 270 km z Gdańska. Hmm, zaczyna nam się palić kontrolka... trzeba zatankować, tylko brak nam chwilowo całodobowych stacji benzynowych. Kontrolka pali się i pali, a my jedziemy i jedziemy, a stacji jak nie widać, tak nie widać. W końcu mamy znak: stacja benzynowa za... 17 km, ale czy zdążymy??? Na dwa kilometry przed stacją KONIEC - stajemy, bak pusty. Dwie osoby idą z baniakiem na stację po paliwo. A my w tym czasie... pchamy naszą Kryśkę 900 metrów do przodu.

Kiedy mamy już paliwo Waldek odkręca korek od baku a tu... kolejna niespodzianka - ten urywa się... i następne minuty spędzamy na próbach wyciągnięcia go. W końcu udaje się nam to zrobić, wlewamy paliwo, ale... nic z tego, samochód nie rusza. Nie pozostaje nam nic innego, jak dopchać naszą Kryśkę do stacji. Dopychamy na nią Kryśkę i tankujemy do pełna. Ale tu kolejna niespodzianka, znowu nie chce jechać! Pchamy ją, więc na parking i tam prosimy o pomoc hiszpańskiego kierowcę tira. Wszystko kończy się dobrze i możemy jechać dalej.

Mijamy po drodze niesamowite, różnorodne krajobrazy Hiszpanii. Robimy sobie jak zwykle małą przerwę - to czas na zdjęcia w opuszczonym starym domu i wśród ogromnych kaktusów. W końcu docieramy do Andaluzji, wieczorem widzimy góry Sierra Nevada - pasmo Gór Betyckich z ośnieżonym szczytem Mulhacén.

Jest coraz później i później. Przebyte kilometry dają się we znaki - wszyscy śpią. Mnie i Agacie też już chce się spać. Jest 1:00 w nocy - Wielkanoc - Agata ledwie żyje. Stajemy na jakiejś podejrzanym stacji benzynowej 20 km przed Algeciras - przystanią promową. Nikt się nie obudził - zmorzył ich kamienny sen. Zamykamy się w samochodzie i wreszcie udajemy się w objęcia Morfeusza. Śpimy z Agatą czujnie, bo za oknem naszego samochodu dzieją się podejrzanym rzeczy, czyżby jakiś nielegalny handel???

15.04.2001 - WIELKANOC

Według moich obliczeń przejechaliśmy 3 569km!!! Udajemy się na przystań, aby kupić bilety na prom. Tutaj trochę się wahamy, gdzie te bilety zakupić, bo jest mnóstwo tzw. naganiaczy. Porównujemy ceny i w końcu decydujemy się.

O 9:30 żegnamy starą Europę i ruszamy naszym promem do Afryki. Mijamy przylądek Europy - Gibraltar i po niespełna godzinie jesteśmy w Ceucie. Opuszczamy prom i udajemy się w stronę przejścia granicznego z Marokiem. Zanim jednak przekroczymy granicę, udajemy się do kantora i wymieniamy dolary na walutę marokańską - dirhamy, po czym tankujemy cały bak naszej Kryśki.

Ruszamy na przejście graniczne. Tu czekają nas już pierwsze niespodzianki. Na granicy widzimy Marokańczyków ubranych w dżelaby z... kapturkami! Jesteśmy pod takim wrażeniem, że zapominamy o przestrożach. Zaraz łapie nas taki „ludek”, który chce nas szybko przeprowadzić przez granicę, licząc na dodatkowy zarobek. Jednak nie czyni tego zbyt szybko, a na dodatek pojawiają się problemy. Po wypełnieniu stosiku papierków okazuje się, że mamy dość poważny problem. Nie chcą nas wpuścić do Maroka, bo nie mamy dokumentów, które wskazują na to, że samochód jest wypożyczony. Ostatecznie puszczają nas, po obejrzeniu naszych pism uczelnianych. Nie wiem, co na nich tak podziało, bo przecież nie umieli tego przeczytać, więc czyżby pieczęć?.

Już pierwsze miasto zaraz za przejściem granicznym - Sebta - wywołuje u nas okrzyki zdziwienia. Gdzie się człowiek nie obejrzy tam stosy śmieci. Mam wrażenie, że jestem na śmietniku. A jakie zapachy!!!! Wszędzie osły, wielbłądy, co kto chce! Dojeżdżamy do Tetuanu i tu robimy krótki postój na wielkanocne zakupy.

Potem trafiamy z kolei na nanę, czyli bardzo słodką herbatę miętową. Dla mnie przepyszna. Chyba zostanie moim ulubionym napojem.

Uff, robi się coraz cieplej. Jedziemy do Moulay Bouselham - ptasiego rezerwatu. Tutaj Waldek dokonuje fantastycznego targu z właścicielem łodzi, tak że jutro z rana mamy zapewnioną wycieczkę po rozlewiskach.

16.04.2001 (lany poniedziałek)

Laguna w Moulay jest w Maroku jednym z najlepszych miejsc do obserwacji ptaków. W czasie pływania po rozlewiskach oceanu podziwiamy różne nieznanym nam gatunki ptaków. Największą frajdę robią nam jednak stada różowych flamingów, których nie możemy obejrzeć z bliska, gdyż jest odpływ i poziom wody uległ obniżeniu, więc nie można wszędzie dopłynąć naszą łajbą. Przewodnik, całkiem miły gość, sporo nam

opowiada. Mamy też „mały” problem z... silnikiem naszej łódki, który po prostu padł. „Szeif” musi go trochę rozkręcić, wyjąć świecę, by je przeczyścić.

Po południu udajemy się do stolicy Maroka - Rabatu. Tam zostajemy zaskoczeni niesamowitym ruchem ulicznym i brakiem przestrzegania jakichkolwiek przepisów drogowych. Panuje tu chaos i zasada - kto pierwszy ten lepszy, co często kończy się wgnieceniem karoserii auta.

Zaczynamy szukać polskiej ambasady, a jest to raczej bardzo trudne, bo posługujemy się mało dokładnym planem miasta zamieszczonym w naszym przewodniku, a w dodatku w rzeczywistości rzadko która ulica ma szyld z nazwą. Ale ostatecznie udaje nam się to. Zostajemy poczęstowani wielkanocnymi smakołykami oraz radca ambasady wystawia nam po arabsku specjalny glej. Później ruszamy zobaczyć stolicę. Przejedźdżamy obok Wielkiego Meczetu, Pałacu Królewskiego, w którym urzęduje obecny król Maroka syn Hassana II - Mohammed.

Zwiedzamy Kazbę des Oudaias - skąd na przeciwległym brzegu rzeki Bu - Regreg znajduje się Salé - miasto piratów oraz idziemy zobaczyć suk.

Opuszczamy miasto i jedziemy dalej, a kiedy zapada zmrok rozbijamy obozowisko.

17.04.2001 (wtorek)

Od samego rana piękne widoki. Dojeżdżamy do ogromnej zapory wodnej w okolicy Bin - el Quidane. Mijamy liczne stare kazby i postanawiamy przy jednej z nich się zatrzymać i obejrzeć z bliska. Gospodarze kazby zapraszają nas do środka. Okazuje się, że właściciel zna francuski i można się z nim dogadać. Opowiada nam o kazbie, wybudowanej w 1914 roku oraz o swojej rodzinie. Pozwalają robić nam zdjęcia. Wchodzimy, aby obejrzeć, jak mieszkają tutaj ludzie. Aby znaleźć się na głównym placu, trzeba przejść przez dwie obórki z kurami i koniem, a potem jeszcze... minąć sypialnię, w której znajduje się tylko siennik.

Jedziemy dalej wkrótce pojawia się tablica: Ouzoud. Nazwa miejscowości oznacza w języku berberyjskim oliwki, a odnosi się do okolicznych gajów oliwnych. Po zakwaterowaniu na campingu ruszamy na trzygodzinną wycieczkę, która przedłuża się i trwa prawie pięć. Zaczynamy od wodospadów, mających ok. 100 metrów wysokości. Później idziemy wzdłuż doliny rzecznej, podziwiając liczne mniejsze kaskady i docieramy do małych jaskiń, a także do miejsca w którym spotykają się trzy rzeki.

Przez całą drogę przewodnik bezskutecznie próbuje wcisnąć nam kif - arabską odmianę marihuany. W powrotnej drodze zażywamy kąpieli pod jedną z kaskad.

Pora na wieczorną kolację, na której pałaszujemy kupione w Rabacie oliwki i możemy iść spać przy szumie znajdujących się w pobliżu wodospadów. Kilka metrów za płotem campingu płynie rzeka, która spada potem jako wodospad.

18.04.2001 (środa)

Po śniadaniu ruszamy „w stronę Marrakechu”. Tutaj charakterystycznym kolorem jest czerwień. Czerwone mury okalają medinę, w której wznoszą się pokryte czerwonymi dachami domy. Legenda berberyjska mówi, że kiedy w centrum miasta budowano meczet Kutubia, polało się tyle krwi, że wszystkie mury, domy, a nawet drogi na trwałe uzyskały czerwoną barwę.

Zaczynamy poszukiwania campingu. I oczywiście znowu mamy nie lada problem z jego odnalezieniem. Czemu Marokańczycy nie chcą podpisywać ulic? Po dobrej godzinie jazdy w kółko docieramy na miejsce, ale okazuje się, że „nasz” camping został przeniesiony poza miasto, ale udaje nam się go odnaleźć. Nasz samochód postanawiamy zostawić na campingu i wynająć dwie taksówki, bo robi się już ciemno. Zanim jednak wsiadamy okazuje się, że ładują do nich po 6-7 osób. No i po licznych targach zbijamy cenę za przewóz, tym bardziej, że o północy umawiamy się na powrót i te same taksówki mają na nas czekać w medinie.

Udajemy się na główny plac Marrakechu - Dzemaat el - Fna. Trafiamy do świata niczym z baśni tysiąca i jednej nocy. Wieczorem rozpoczyna się fascynujący spektakl. Cały plac zapełnia się różnymi stoiskami, skąd unoszą się niesamowite zapachy i jest się zapraszającym przez właściciela na spróbowanie jego specjalów.

Wszędzie szamani, odpędzający za pomocą jakichś ptaków nieznanymi mi duchy. Cały plac zapełniony jest grupkami ludzi ustawionymi w kręgu, a w każdym takim miejscu opowiadana jest jakaś stara, barwna opowieść przekazywana ustnie z pokolenia na pokolenie. Na placu można spotkać fakirów chodzących boso po stłuczonym szkle, grajków, połykaczy ognia.

W końcu Jarek i ja postanawiamy kupić sobie dżelaby. Wchodzimy do sklepu i zaczynamy się targować. Sprzedający każe nam przymierzać, a gdy już mamy je na sobie, to nie pozwala ściągnąć, tylko żąda zapłaty. Po jakiejś pół godzinie, zamiast 300 dirhamów za sztukę płacimy po sto. Ale sprzedający chce jeszcze jakiś PREZENT od nas!!! Zaczynamy czegoś szukać w naszych plecaczkach. Jarek daje mu podręczny zestaw igieł i nici do szycia oraz długopis, ode mnie dostaje również długopis i... klej super glue. Był zadowolony, a my z dżelabami mogliśmy udać się pod meczet Kutubia, pod którym wszyscy umówiliśmy się koło północy. Meczet ma 70 metrów wysokości i jest doskonale widoczny z odległości wielu kilometrów z każdej strony świata. Jego nazwa pochodzi od arabskiego słowa oznaczającego książki. Wywodzi się od targu książkowego, jaki kiedyś rozciągał się wokół meczetu.

19.04.2001 (czwartek)

Dzisiaj czas na Marrakech „za dnia”. Po raz kolejny trafiamy na główny plac. Nagle słyszę dochodzący mnie charakterystyczny głos trąbki. Tu gdzieś w pobliżu muszą być tańczące KOBRY!!! Są!!! Niesamowite.

Znowu ruszamy w uliczki medyny, trafiamy na suk dywanów, później ubrań, butów, wyrobów skórzanych, metalowych. Widzimy, jak farbują się w kadziach kolorowe chusty (nawet dwie takie kupuję), włókna.

Opuszczamy Marrakech i jedziemy do Imlil - wioski będącej bazą wypadową na najwyższy szczyt Maroka - Dżabel Toubkal. Docieramy w góry, zaczyna padać, a droga, którą jedziemy, pozostawia wiele do życzenia, ledwie mieści się nasz samochód, a tu jeszcze coś zbliża się z przeciwka. W pewnym momencie musimy wysiąść i pchać, bo źle wjechaliśmy, a nie da się wycofać. Do wsi wjeżdżamy już o zmroku. Znajdujemy się na wysokości 1740m n.p.m. Wieś jest malutka, podobno tutaj kręcono film Martina Scorsese o Dalaj Lamie.

Przydaje nam się pismo uzyskane w polskiej ambasadzie. Dostajemy zgodę na postawienie samochodu na małym parkingu w „centrum” wsi. Część z nas śpi w samochodzie, a część w małym hoteliku.

W oddali niesie się głos muezina. Jest tym bardziej ciekawy, że niesie się wśród gór, potęgując nastrój. Sama czuję się jakbym była nie w Atlasie Wysokim, a w Himalajach!

20.04.2001 (piątek)

Budzimy się rano wypoczęci, wychodzimy na schody naszego hoteliku i przed nami ukazują się cudowny widok ośnieżonych i zalanych słońcem szczytów górskich. Biegając po wsi w poszukiwaniu mapy trasy na Toubkal zostajemy zaczepione przez handlarza Berbera, który próbuje z nami dobić targu po tzw. „good price”.

W góry wychodzimy dość późno, bo dopiero koło 11.00. Samochód zostaje pod opieką starego gardiana. Idzie się dość kiepsko, bo wszędzie pełno rumowiska skalnego, w dodatku upał robi swoje. Idziemy po dwie - trzy osoby, bo tak jest wygodniej. Wspinamy się coraz wyżej i wyżej. Na szlaku, który jest bardzo wąską ścieżką, można spotkać ciekawych ludzi. Gdy idziemy z Agatą, spotykamy dwóch Berbrów, których muły niosą malowane... drzwi!!! Nie mam pojęcia skąd, bo schodzą z gór! Co jakiś czas mijają nas inni amatorzy wspinaczek górskich - Amerykanie, Niemcy, którzy na wysokość 3 200 metrów dostają się na mułach.

Po siedmiu godzinach marszu w górę docieramy po kolei do schroniska na wysokości 3 207m n.p.m. Robi się chłodno, więc najpierw trafiamy do schroniska i wypijamy obowiązkowo miętową herbatę, a potem rozstawiamy namioty. Szybko zapada ciemność, ciśnienie spada do 686hPa, a temperatura do 2 stopni Celsjusza. Brrrr zimno. W nocy budzę się, bo zimno mi w stopy, to nic, że mam cztery pary skarpet, śpiwór i koc.

21.04.2001 (sobota)

Trzeba wstawać, choć ciężko to zrobić, taki ziąb panuje na zewnątrz. W końcu wysypujemy się z namiotów. Nocą spadł śnieg przysypując nas.

Z wejścia na Toubkal rezygnują Gosia z Konradem. Pozostała siódemka będzie dalej zmagać się z górami. Zostawiamy nasze obozowisko, zabieramy najpotrzebniejsze rzeczy i ruszamy w górę. Znowu idzie się nieszczególnie, kamieni jeszcze więcej, w dodatku cały czas ostro pod górę. Trzeba szukać „ścieżki”, bo jej tu praktycznie nie widać. Szlak wyznaczają tylko małe kopczyki kamieni. Trzeba się kierować nimi, choć i tak, co chwilę gubi się je w natłoku rumowiska skalnego.

Im wyżej jestem, tym jest mi trudniej, ale skoro wlażłam tutaj, to nie mogę się cofnąć. Do szczytu już tak niewiele. Teoretycznie..., a w praktyce jeszcze kilka godzin. Jest tak źle, że gadam do mijanych kamieni. Tak ciężko podnieść mi nogę. W końcu po ponad pięciu godzinach udaje mi się. Jestem na Toubkalu, na wysokości 4 165m n.p.m!!!!!!! Trud wspinaczki rekompensują cudowne widoki, jesteśmy powyżej chmur. Wokół rozpościerają się pasma górskie Atlasu Wysokiego. Każdy zaczyna odczuwać ból głowy, to skutek ciśnienia, które tutaj jest gdzieś poniżej 500hPa. Nie wiemy ile dokładnie, bo ciśnieniomierz wskazuje ciśnienie od 500hPa, niżej nie ma już skali...

Agata, ja i Waldek zostajemy na kolejną noc na wysokości 3 207m n.p.m, a pozostali schodzą do Imlil. Jak miło iść spać po takim wysiłku - zdobyciu szczytu. Przystaję w końcu odczuwać tępy ból głowy, trawiący mnie przez siedem godzin. Całe szczęście, że dzisiaj nie jest tak zimno w nocy, a może jestem tak zmęczona, iż nawet nie czuję tego, tylko śpię.

22.04.2001 (niedziela)

Rano wstajemy i po szybkim śniadaniu możemy ruszać z powrotem do Imlil. Znowu dochodzimy do małej wioski, gdzieś na 2 500m n.p.m, gdzie postanawiamy poczynić pewne zakupy, które trwają dłuższy czas, bo handlarz, chce nam jak najwięcej sprzedać. Agata kupuje czajniczek, ja wymieniam saszetkę z napisem „Podróże” na mały dywanik. Kupujemy też z Agatą minerały i nawet kilka dostajemy w prezencie od handlarza. Czyżby zrobił aż tak dobry interes? Dochodzimy do Imlil, dziękujemy gardianowi za pilnowanie samochodu i ruszamy dalej na południe w kierunku pustyni. Po raz drugi pokonujemy prawie nieistniejącą drogę z Imlil.

Teraz nasza droga wiedzie do Warzazat.

Jakieś 40km za Marrakechem zaczynamy mieć problemy z Kryską. Kopci z rury, tak jakbyśmy się palili. Co jest u licha? Z dnia na dzień było gorzej, ale dzisiaj to już katastrofa. Nawet pod małą górkę nie może podjechać. Jeszcze trochę, a w ogóle stanie na drodze i nie ruszy ani centymetra dalej. Postanawiamy zawrócić do najbliższej stacji benzynowej i tak trafiamy do marokańskiej wsi, gdzie przy drodze są aż trzy warsztaty samochodowe. Oczywiście wątpliwej jakości..., no ale nie pozostaje nam nic innego w takim momencie, kiedy samochód i tak dalej nigdzie nie pojedzie, a w dodatku robi się ciemno. Zostajemy, zlatują się tubylcy. Wojtek coś tam tłumaczy po francusku. W warsztacie zaczyna się ogólne rozkręcanie naszego autka.

Okazuje się jednak, że znaleziono usterkę. Coś tam pękło, więc robią coś z drutów na imadle i wszystko ma trzymać się całości. No i się trzymało!

Właściciel warsztatu proponuje nam nocleg w pomieszczeniach nad zakładem. Idziemy obejrzeć. Ostatecznie z noclegu korzystają Renia, Gosia, Waldek i Wojtek. Warunki niczym z pięciogwiazdkowego hotelu!!! Sam beton, nawet sufitu nie ma!!!! A wszędzie panoszą się jakieś podejrzane odchody!!! Wolałam nocleg w mojej kochanej Kryście! Tym bardziej, że przy wejściu siedzą jakieś podejrzane typy spod ciemnej gwiazdy. Chyba tam nocują.

23.04.2001 (poniedziałek)

Budzę się koło szóstej rano w Kryście przy warsztacie. W zasadzie mogłabym spać dalej, ale się nie da. Gdzieś obok słychać ryczące bydło, które nie pozwala nam dalej spać. Co tym razem? Sprawdzamy, co się dzieje obok..., a tam na wielkim placu po drugiej stronie ulicy w najlepsze od wczesnych godzin porannych trwa bazar - głównie handel bydłem, choć nie tylko. Ludkowie w swoich dżelabach z kapturkami kupują i sprzedają krowy i cielaki. Oczywiście przy wielu okrzykach, które zlewają się w wielki harmider. Poza tym sprzedaż odbywa się nie tylko przy wrzaskach obu stron, ale i przy wzajemnym szarpaniu się za dżelaby.

Zaczynamy się w końcu zbierać, bo czas goni, a my musimy jeszcze znaleźć serwis samochodowy Mercedesa, żeby wymienić tą pękniętą część. Tak, więc po raz trzeci (!!!) ruszamy w stronę Marrakechu! Szukamy serwisu, jest ich sporo, ale... nie Mercedesa. Odwiedzamy kilka innych, ale nie dysponują taką częścią. Najbliższy serwis Mercedesa znajduje się w Casablance, raptem jakieś 250km stąd... W końcu zostajemy odesłani w miejsce, gdzie można kupić różne części samochodowe. Jednak i tam okazuje się, że w magazynie nie ma tego, czego my szukamy, ale mechanik zagląda pod maskę naszej Kryski i stwierdza, że samochód po tej „naprawie” może jechać.

Przy drodze zaczynają się pojawiać stragany z wielką ilością minerałów. Handlarze stoją przy drodze trzymając w dłoniach co piękniejsze okazy, mające skusić potencjalnego kupca do zatrzymania się. Zwłaszcza druzy, z zielonymi minerałami, które pięknie błyszczą w promieniach słońca. Dlatego też i my postanawiamy zatrzymać się przy jednym z takich przydrożnych straganów i dokonać zakupów.

Później jedziemy serpentynami coraz wyżej i wyżej, postanawiamy zatrzymać się, aby zobaczyć z góry, jak wije się droga. Jesteśmy na przełęczy Tizi n'Tichka 2 260m n.p.m. W między czasie okazuje się że minerały to podrobka... są pomalowane!

Tak więc w dobrych humorach zmierzamy w kierunku pustyni, docierając po drodze do miejscowości Ait Benhadou. Jest to miejscowość, w której powstało wiele hollywoodzkich filmów, jak np. „Jezus z Nazaretu”. Warto ją obejrzeć, choćby dlatego, że wszystkie kazby (domy), są w bardzo dobrym stanie. Właśnie dla potrzeb filmów.

Po obejrzeniu osady jedziemy do Warzazat, nad którym góruje kazba Taourirt. Docieramy na camping położony tym razem w mieście, w dodatku całkiem przyzwoity i jak na marokańskie warunki, dobrze wyposażony. Po takim dniu pełnym wrażeń przyda nam się wieczorny odpoczynek przy kolacji i winie...

24.04.2001 (wtorek)

Dzisiejszy dzień został mianowany kondycyjnym, czyli po prostu róbta, co chceta. Każdy mógł zniknąć w siną dal i robić, co mu się żywnie podoba. Wraz z Agatą ruszyliśmy na poszukiwania czegoś takiego, co nazywa się... kawiarenką internetową. No i oczywiście znalazłyśmy. Kto by pomyślał, że tu prawie na końcu świata działa Internet i to całkiem sprawnie. Można było wysyłać nawet smsy do Polski.

Gdy wracamy na camping, zostajemy zaczepione przez dwóch czadowych gości. Tak, tak dokładnie czadowych, bo z... Czadu. Czarni, niczym smoła. No i nie chcą się od nas odczepić! Okazuje się, że są studentami turystyki. Razem trafiamy na bazar, gdzie z Agatą kujemy melony. W pewnej chwili, Marokańczycy zaczynają coś nerwowo wykrzykiwać, a ku naszemu zdziwieniu przez rynek przechodzi coś podobnego do trąby powietrznej. Wszystko zaczyna fruwać - pył, piasek oraz liście warzyw i owoców. Nawet parasole, pod którymi mieli swoje „sklepy” handlarze, fruną, tak jakby miały wagę piórka.

Po południu ruszamy w dalszą drogę, a kiedy zaczyna się ściemniać postanawiamy rozbić się na pustyni kamienistej opodal wysychającego zbiornika wodnego. To nasze najdalsze miejsce na południe. Odczytujemy jego współrzędne geograficzne za pomocą GPS - u, wynoszą one: 30°57'39" szerokości geograficznej północnej i 06°45'03" długości geograficznej zachodniej.

25.04.2001 (środa)

Pobudka na pustyni. W końcu wszyscy wstają i jedziemy w stronę przełomu rzeki Todry. Został sam przełom, a rzeka, jak to rzeka w tym klimacie, po prostu wyschła. Zanim jednak dojeżdżamy do Todry, robimy jeszcze przystanek w dolinie Dades przy skałkach. Jak to zwykle bywa część z nas nigdzie się nie rusza i zostaje przy samochodzie, a inni penetrują nowy teren. Schodzę ze stromej skały do oazy. Środkiem oazy płynie rzeczka, przez którą przechodzimy, aby udać się do labiryntu ścieżek pomiędzy skalnymi ścianami. Na początku droga jest łatwa, szerokie miejsca pomiędzy dwoma ścianami, jednak później staje się coraz bardziej wąsko.

Opuszczamy dolinę, aby dalej kierować się do Todry. Przejeżdżamy przez obszar różany, gdzie rośnie ogromna ilość krzewów róży, z których robi się cudownie pachnącą wodę różaną. Przy drodze stoją dzieci sprzedające turystom płatki róż nawleczone na sznureczki.

Jesteśmy już prawie u celu, mijamy jeszcze miejscowość Tinerhir otoczoną oazą, w której królują ogromne palmy. Dojeżdżamy do przełomu Todry. Widok jest imponujący - pionowe skalne ściany o wysokości ponad 300 metrów, a szerokość w najwęższym miejscu ma tylko 10 metrów. Człowiek przy nich czuje się malutki, zwłaszcza ta ich stromość potęguje to wrażenie. Na jednej ze ścian dostrzegamy wspinających się ludzi, wyglądają jak muchy na ścianie bloku.

Dojeżdżamy do końca ścieżki i na parkingu zostawiamy samochód. Dalej musimy iść pieszo. Przez cały czas przemieszczamy się wśród stromych, skalistych ścian. Wydaje się to niemożliwe, ale tę dolinę wyrzeźbiła rzeka. Ile potrzebowała na to czasu? Tysiąc czy może milion lat? Ileż to czasu musiało upłynąć, żeby powstały 300 – metrowe ściany?

Zaczyna się ściemniać, więc musimy znaleźć miejsce na nocleg. Już o zmroku stajemy koło jakiejś oazy, ale dokładnie nic nie widać, bo już zbyt ciemno.

26.04.2001 (czwartek)

Poranek przy oazie. Jak zwykle wzbudzamy zainteresowanie. My czynimy poranną toaletę, a tubylcy pracują na swoich poletkach. Dziś zmierzamy na pustynię – Erg Chebbi, część Sahary. Mijamy już obszary pustyni żwirowych z dużymi ilościami agatów.

Dojeżdżamy do jakiejś miejscowości, w której na chwilę zatrzymujemy się. Dlaczego, dziś już nie pamiętam. W każdym razie koledzy zaczepiają jakąś dziewczynę, która zaprasza nas do mieszkania. Spotykamy tam bardzo skromnie żyjące trzy młode dziewczyny, dwie Berberyjki i Arabkę. Są nauczycielkami. Mamy szczęście, bo normalnie Marokanki nie mogą zapraszać cudzoziemców do swojego domu, ale one są tutaj „obce”, czyli pochodzą z innych części kraju. Dlatego mogą coś takiego uczynić. Nasi wspaniali koledzy mają podwójne szczęście, bo my dziewczyny jesteśmy dla nich czymś w rodzaju paszportu. Sami nie mogliby wejść do tego mieszkania. Jedna z nich, nauczycielka angielskiego z chęcią z nami rozmawia.

Zatrzymujemy się w ostatniej miejscowości przed pustynią – Erfoud - aby zrobić ostatnie zakupy, zaopatrzyć się w wodę. Na placu w tej miejscowości zostajemy zaczepieni przez jakichś ludzi, którzy proponują nam nocleg w osadzie na pustyni. Oczywiście ich zrywamy, ale wizytówkę bierzemy, bo jedziemy właśnie tam, a na tej karteczce są dokładne współrzędne geograficzne tego miejsca. Przydadzą się nam one, żeby tam dojechać przy pomocy GPS – u. Wystarczy je tylko wprowadzić, a potem trzymać się wytyczonego kursu.

Obok stacji znajduje się parking samochodów terenowych dla turystów. Oczywiście mamy propozycję, żeby wynająć te samochody, bo podobno naszym tam nie dojedziemy. Znowu jedziemy, kierujemy się słupkami tylko, że one w pewnym momencie znikają i teraz już zdani jesteśmy na nasz GPS. W końcu naszym oczom w oddali ukazuje się widok na Erg Chebbi. Dzięki nawigacji satelitarnej docieramy do Merzougi – maleńkiej wioski znajdującej się u stóp ergu. Rozbijamy swój obóz wśród oazy palm obok ergu.

Zaczyna się ściemniać i wiać coraz bardziej i bardziej, trzeba ewakuować się do namiotów spać. W dodatku mamy wstać o 4:30 i udać się na wschód słońca nad piaskami Sahary. Trudno zasnąć, bo tak wieje i wali piaskiem o namiot. Kilka razy budzę się w nocy z wrażeniem, że wraz z namiotem odlecimy gdzieś donikąd. W dodatku za każdym razem coraz bardziej chrzęści mi piasek między zębami...

27.04.2001 (piątek)

Dzwoni budzik Agaty, to 4:30 rano. Agata każe mi się nie ruszać, tylko świeci latarką na mój śpiwór i koc... wszystko w piasku. Dosłownie wszystko, piasek jest wszechobecny na przedmiotach, jak i na nas samych. Jest jeszcze ciemno, w dodatku jeszcze wieje, a my ruszamy. Wschód słońca około 5:35, tak określił czas GPS. Naprawdę jest to cudeńko. Udaje się nam dotrzeć na tę wydmy, choć wejście na nią graniczyło z cudem, bo idzie się zawietrzną stroną. Krok w górę i zsuniecie się dwa w dół. Już myślałam, że nie uda mi się dojść do idealnie zarysowanej krawędzi wydmy. Jeszcze trochę wysiłku i jestem na górze. Piasek ma niesamowicie pomarańczowy kolor.

Na „naszą” wydmy dociera jeszcze innych dwóch zagranicznych turystów. No i w końcu słońce pojawia się na horyzoncie i to punktualnie! Robimy zdjęcia, choć kończy się to tym, że większość aparatów potem skrzypi od piasku, który powłaził do każdej możliwej szczeliny.

Po wschodzie słońca idziemy do miejscowej knajpki, gdzie gospodarz informuje nas, że trwa w wiosce ślub i powinniśmy to zobaczyć. Więc idziemy i z barwnym tłumem, panem młodym przy śpiewie docieramy do chaty panny młodej. Tam wszystkich skrapiają różaną wodą, której zapach długo się trzyma. Jesteśmy świadkami tańców oraz publicznego zarznięcia owcy przed domem panny młodej. Zostajemy zaproszeni do chaty panny młodej. Chata to klepisko, na której siedziało mnóstwo kobiet. Tam uczestniczymy w śpiewach i tańcach. Nawet dane jest nam – dziewczynom – założyć na głowę coś, co dla nas było workiem, a dla Berbrów częścią stroju ślubnego. Tylko, że w tym nie da się oddychać, a panna młoda musi to nosić przez trzy dni! Nikt nie może widzieć jej twarzy, taki panuje tutaj zwyczaj. Zresztą widać jest, że ledwie żyje. Częstość nas migdałami. Siedzimy trochę, a potem jak zwykle jedziemy dalej.

Teraz nasza droga wiedzie do Source bleue de Meski – wspaniałych naturalnych źródeł. Okazuje się jednak, że zostały praktycznie zabetonowane, nic ciekawego. Nie wiem, czym tutaj się zachwycano, może kiedyś to rzeczywiście były cudowne źródła. Tak, więc zamiast wspaniałych źródeł czekała nas noc nad sztucznym zbiornikiem wodnym za Erachidią, w okolicach której postanowiliśmy się rozbić.

28.04.2001 (sobota)

Kolejny dzień w drodze. Dzisiaj zmierzamy w stronę terenów powulkanicznych, a dokładnie w okolice Aguelmane Sidi Ali – wulkanicznego jeziora.

Zatrzymujemy się nad brzegiem jeziora, stanowi ono wnętrze starego zniszczonego krateru. Wszędzie można znaleźć stare skały wulkaniczne.

Wraz z Wojtkiem i Agatą postanawiamy wdrapać się na jedno z otaczających zboczy, aby przyjrzeć się kształtowi krateru. Wchodzimy do góry. Zajmujemy miejsce na skalnej półce i naszym oczom ukazuje się widok na cały krater. Musi być rzeczywiście bardzo stary. Trzeba dobrze się przyjrzeć, żeby stwierdzić, że to krater. Poza tym zostajemy zaskoczeni tym, że są tu trzy jeziora zamiast jednego. Jest to wynikiem jego wysychania w porze suchej. Dzieli się ono wtedy na mniejsze zbiorniki. Widok jest cudowny, aż żal wracać. Schodzimy w dół, Agata ogląda leżące skały i w końcu pod jedną z nich znajduje... skorpion! Całe szczęście, że nie był jadowity. Chociaż tego nie byłabym taka pewna.

29.04.2001 (niedziela)

Pobudka już o 6.30, bo na dzisiaj zaplanowaliśmy Fez. Zaczynamy od medyny. Postanowiłyśmy połączyć ciasnymi uliczkami medyny, a że położona ona jest na zboczach, to uliczki wznoszą się raz w górę, raz stromo w dół. Później oglądamy słynne farbiarnie skór, gdzie w ogromnych kadziach barwi się je na różne kolory. Nie da się tam długo wytrzymać, bo wydziela się tam paskudny zapach. To sprawia, że najlepiej zrobić zdjęcia i czym prędzej stamtąd uciekać. Poza tym oglądamy Pałac Królewski w Fezie.

Znowu jesteśmy głodne. Przydałoby się coś zjeść. Tym razem postanawiamy spróbować podłużnych bułek z farszem. Farsz jest ciekawy, bo nie dość, że wszystkie jego składniki znajdują się na ladzie osłoniętej od chodnika szybą, to jeszcze świeci na nie słońce. Do takiej bułki prosto z wystawy trafiają pomidory, kapusta, ogórki, marchewka, cebula, ugotowane jajko (!!!), frytki oraz gotowane ziemniaki!!! A wszystko to jest polewane ostrym sosem, zawijane w szary papier i ugniecione, żeby farsz nie wypadł. Z opisu nie brzmi to za bardzo smakowicie, ale efekt końcowy jest całkiem dobry.

Opuszczamy Fez. Dzisiaj znowu mamy w planach nocleg w terenie. W końcu znajdujemy się na plantacji pomarańczy. Nawet dostajemy pozwolenie od miejscowych na przenocowanie tutaj jednej nocy. W podziękowanie zapraszamy na kolację... soja z fasolką i ryżem. Zaczyna panować miła atmosfera. Tylko, że Marokańczyków przybywa, a Gosia z Wojtkiem dwoją się i troją, żeby ugotować im wszystkim kolację. Ostatecznie wynik jest taki, że razem z nami siedzi... dwudziestu Marokańczyków! Każdy dostaje kolację, ale widać, że chyba nie wszystkim ta nasza znakomita potrawa smakuje. Przynoszą nam mnóstwo pomarańczy. I zaczyna się zabawa, bo jeden z gości przyszedł z bendirem. To orientalny bęben, obciążony z jednej strony skórą. W dodatku Jarek wyciąga z samochodu swoje zdobycze - duży bęben i jeszcze jeden malutki oraz fujarkę. Teraz dopiero impreza nabiera tempa. Zaczynają się nawet tańce i śpiewy. Nie da się ukryć, że w śpiewaniu rozkładają nas na łopatki. Nie dorastamy im do pięt. Impreza kończy się koło 22:00. Marokańczycy kulturalnie żegnają się i opuszczają plantację wielką ciężarówką. Nam zostało jeszcze posprzątać bałagan po imprezie. Po porządkach, po kolejnym dniu obfitującym w przeżycia możemy wreszcie udać się na spoczynek w niesamowitym otoczeniu setek drzew pomarańczowych, pełnych owoców.

30.04.2001 (poniedziałek)

Kolejnym miejscem, do którego mamy zawitać, jest Al – Hoceima nad samym Morzem Śródziemnym. Zanim to jednak nastąpi, czeka nas przeprawa przez około 100 – kilometrowy odcinek trasy prowadzącej przez Góry Rif, gdzie uprawia się słynny tutaj kif.

Trasa, na jaką się zdecydowaliśmy, jest odradzana w przewodnikach turystom, a to z tego powodu, że mieszkańcy bardzo nachalnie próbują, a nawet zmuszają do kupienia owego kifu. My jednak postanawiamy pojechać tą drogą, by sprawdzić, jak to jest w rzeczywistości. No i okazuje się, że w istocie tak jest. Na poboczu drogi, co pewien czas pojawiają się ludzie, którzy próbują zatrzymać przejeżdżający samochód i sprzedać narkotyk. Jesteśmy niewzruszeni i wcale się nie zatrzymujemy. Docieramy do Ketamy, głównego zagłębia uprawy kifu. Tutaj zatrzymujemy się bo... jesteśmy głodni. Idziemy na buły. Oczywiście wrzucają do nich mydło i powidło. Tym razem nawet jest w niej ryba, ale moim zdaniem tylko psuje smak całości. Nigdy więcej ryb w takiej bułce!

Możemy przyjrzeć się ludności, są tu sami mężczyźni, w dodatku o jakimś niewyraźnym spojrzeniu, ale za to z uśmiechem od ucha do ucha. To działanie kifu. Wszyscy tu sobie popalają. Tak na marginesie to kif po arabsku znaczy „przyjemność”, tak więc sama nazwa mówi za siebie.

Dojeżdżamy do Al-Hoceimy i trafiamy na camping położony nad zatoczką wśród klifów. Waldek poczynił już znajomości i mamy chętnego na oprowadzenie nas po mieście. Tylko musimy poczekać, aż nasz przewodnik odmówi modlitwę. Po raz pierwszy widzimy, jak wyciągają dywaniki i na głos muezina zaczynają się modlić. Trwa to jakieś pół godziny, aż wreszcie kończą i możemy ruszać do centrum.

Centrum miasta nie przedstawia nic rewelacyjnego. Tylko widok na morze ze skalistych klifów jest piękny. Klify oddzielają od siebie małe plaże. Nasz przewodnik zabiera nas na przystań jachtową, gdzie Agata ogląda jeden z jachtów, który stał i niszczał przy brzegu. Podobno został skonfiskowany przez policję przemytnikom narkotyków.

Część naszej grupy ma ochotę na rybę i chce pójść do restauracji. Tam okazuje się, że najpierw musimy kupić rybę na przystani, a potem przynieść ją tu do restauracji do usmażenia. No więc zostajemy zaprowadzeni na przystań. Tutaj można kupić wszystko, gatunków ryb co niemiara. Po długich targach i wybieraniu, ryby zostają kupione. Teraz musimy przenieść się do kolejnego stołu, gdzie nam je oczyszczą, a potem już tylko trzeba przejść do restauracji, gdzie zostaną odpowiednio przygotowane.

01.05.2001 (wtorek)

Dzisiaj jedziemy z powrotem przez Rif. Jest ciekawiej. Próbuje nas zatrzymać sprzedawca kifu, jadąc za nami swoimi samochodami. Jeden prowadzi, a drugi wychyla się przez oko i prawie przed maską macha nam kifem. My jesteśmy twardzi i nadal się nie zatrzymujemy. W pewnym momencie mijamy stojących przy drodze kolejnych sprzedających, z których jeden wyposażony jest w... procę. Nie chcę nawet myśleć, do czego ona służy, ale na pewno skutecznie zatrzyma kierowcę. Całe szczęście, że nie miał ochoty wypróbować jej działania na naszej Kryśce.

Jedziemy do Szefszawan, droga dłuży się nam niemiłosiernie, bo jest strasznie kręta i trzeba wolno jechać. Dojeżdżamy do miasta, które położone jest na zboczu, a jego budynki są białoniebieskie.

Na campingu okazuje się, że kierownik campingu to służbista i spisuje wszystkie informacje z paszportów, co trwa niemiłosiernie długo, ale w końcu oddaje je nam i możemy ruszać do miasta. Idziemy na skróty, przez stary cmentarz. Po raz nie wiem, który wybieramy medinę, żeby połączyć wąskimi uliczkami. Wszędzie w oczy kłuje błękit - niebieskie ściany, drzwi, okna, wnętrza sklepów też w takim kolorze. Nawet dodatki, takie jak donice z kwiatami, też są błękitne. Robimy ostatnie zakupy, bo jutro już opuszczamy Maroko i Afrykę.

Po raz ostatni zamawiamy miętową herbatę i pijemy ją siedząc obok meczetu, z którego słychać głos nawołującego muezina.

02.05.2001 (środa)

Uff, poranek w... błotku. W nocy lało. Coś nowego jak dla nas, bo do tej pory deszczu ani widu, ani słychu. Wszędzie mokro, a tu trzeba przepakować bagaże na drogę i w ogóle cały samochód. Wojtek pracuje nad podziałem pozostałej żywności pomiędzy wszystkich, niektórzy mają plany, że pozbędą się tego wymieniając na coś innego. Ten podział Wojtek przeprowadza sprawnie i każdy może zabrać swoją część. Wygląda to niczym paczki pod choinkę. Dla każdego wychodzi pokazny karton.

Wybija dwunasta w południe, godzina zero. Czas odjazdu. Musimy wcześniej wyjechać, bo w momencie przekroczenia granicy trzeba będzie przesunąć zegarki dwie godziny dalej. Jedziemy do Ceuty, po drodze mijamy Tetuan i dojeżdżamy do Sebty, gdzie wydajemy ostatnie dirhamy między innymi na herbatę miętową.

Ruszamy na granicę. Zanim ją przekroczymy, jesteśmy tam przez półtorej godziny, bo trzeba po raz kolejny wypełnić różne świstki papieru, a potem udać się z nimi i z paszportami do okienka. Tam z kolei zaczyna się sprawdzanie nas w komputerze, pieczętowanie kart, co niestety trwa, bo nikomu się tu nie śpieszy. Potem jeszcze papiery samochodu, celnicy hiszpańscy i już Ceuta. Sterylna. Można tu jeść prosto z ziemi, tak czysto, że aż razi.

Przesuwamy zegarki dwie godziny do przodu i... robi się późno. Odczytuję licznik, żeby sprawdzić ile to kilometrów przejechaliśmy po Maroku. Wychodzi mi, że około 3000 kilometrów. Teraz musimy się śpieszyć, bo trzeba wymienić pieniądze, odwiedzić sklep wolnocłowy, zatankować Kryskę na maksa, bo tu o połowę taniej. No i ruszyć na prom do Europy.

W końcu czas na prom, lecz zanim tam docieramy, to trochę kluczymy, ale w końcu udaje nam się wjechać w odpowiedni wjazd. Kolejna kontrola. Hiszpanie przychodzą z psem, który dokładnie przeszukuje nasz samochód. Niestety nie znajdzie tego, czego szuka, czyli kifu. Ewentualnie może nawąchać się mięty, którą wieziemy do domu i aby dotrwała wstawiamy ją do pojemników z wodą. Jeszcze godzina i zawijamy do Europy.

03.05.2001 (czwartek)

Zmierzamy do Barcelony. Już się nie mogę doczekać. Dojeżdżamy i jak zwykle zaczynamy się kręcić w kółko po mieście, bo nie możemy znaleźć żadnego miejsca parkingowego. Kręcimy się jak bączki i... zwiedzamy miasto przez okna samochodu. W końcu udaje się nam znaleźć miejsce.

Trafiam pod Sagradę Familię projektu Gaudiego, która budowana jest już od stu lat i ma być budowana jeszcze drugie tyle. To jeden wielki plac budowy. Jestem szczerze rozczarowana, bo owszem frontowa ściana, która przedstawiana jest we wszystkich przewodnikach jest naprawdę piękna. Za to reszta budzi moje zastrzeżenia. Każda strona inna, a najbardziej mnie denerwują kolorowe owoce umieszczone w górnej części świątyni. Potem oglądam domy projektu Gaudiego, gdzie nie ma kątów prostych, dalej Katedra, Łuk Triumfalny i mnóstwo ciasnych uliczek. Z okien samochodu widzieliśmy jeszcze Plac Kataloński, Pomnik Kolumba.

Potem jedziemy do nadmorskiej miejscowości pod samą Barceloną, gdzie jesteśmy umówieni z „zaprzyjaźnionymi” Hiszpanami. Zostajemy przyjęci po królewsku. W czasie tej biesiady toczymy wszyscy razem rozmowę. To jest prawdziwie międzynarodowy stół, przy którym posługujemy się angielskim, polskim, hiszpańskim, katalońskim i francuskim, w zależności od potrzeb i od tego, kto z kim rozmawia. Aż żal opuszczać takie miejsce.

04.05.2001 (piątek)

Około trzeciej w nocy mijamy granicę hiszpańsko – francuską. Przez Hiszpanię przejeżdżamy 1 367 kilometrów. Jedziemy razem z Agatą do szóstej rano, a potem idziemy spać. Stanowimy niezły nocny duet.

Śpię jak zabita do dwunastej. Przespałam prawie całą Francję, bo około godziny 13:00 kolejna „niewidoczna” granica. Granica francusko – niemiecka.

Przez Francję nasza droga prowadzi przez dokładnie 888 kilometrów. Teraz przed nami ostatni tranzytowy kraj – Niemcy. Jeszcze jakieś 1000 kilometrów do granicy z Polską.

Przed kolejną zmianą wypijam jeszcze... kawę, żeby nie zasnąć. Jest to historyczna chwila, bo ostatnią kawę piłam gdzieś kilka lat temu. Fuj, jakie to ohydztwo!

W końcu zapada wieczór i po raz kolejny „nocna zmiana” zasiada za sterami Kryški.

05.05.2001 (sobota)

Jedziemy obie z Agatą, wkrótce granica. Ale zamiast na przejściu w Kostrzynie, przypadkiem lądujemy w Świecku. Posuwamy się w żółtym tempie przez trzy godziny. W końcu stajemy na przejściu. Najpierw Niemcy, a potem nasi celnicy, którzy witają nas „bardzo” miło

Wymieniamy jeszcze pieniądze na złotówki, tankujemy i możemy ruszać dalej, odczuwając, to że jesteśmy w Polsce. Nie da się za bardzo spać tak trzęsie na wybojach polskich dróg.

Do Gdańska docieramy koło południa.

